

BEZ CUKRU

Numer 2

gazeta
codzienna
Zgierskich
Spotkań
Małych
Teatrów
Słodkoblękity
8 czerwca 2025 r.

Werdykt Jury XXX Słodkoblękitów

Jury w składzie:

Anna Sadowska
Marcin Brzozowski
Tomasz Rodowicz

po obejrzeniu sześciu spektakli konkursowych postanowiło przyznać:

wyróżnienie w wysokości 1500 zł dla **Teatru Wojtka Kowalskiego** z Częstochowy
za bolesną analizę polskości w spektaklu *Kukla*;

wyróżnienie w wysokości 1000 zł dla **Izabeli Mańkowskiej-Salik** za wyrazistą osobowość
sceniczną i klarowną intencję w sięganiu po temat pozycji kobiet w świecie
w spektaklu *Herstorie*;

wyróżnienie w wysokości 1000 zł dla **Kacpra Kurciosa** za poruszającą opowieść
o samotności w spektaklu *KAMAN KAMAN*.

Nagrodę im. Mariana Glinkowskiego w wysokości 3500 złotych dla **Grupy Pomarańcze**
w Uchu na Skarpie bez Kartki za wygranie batalii z samym sobą i skrajną autoironię
w spektaklu *Warlikowski Noob, a Lupa*.

30. **Zgierskie** Spotkania Małych **Teatrów**
SŁODKOBLĘKITY

STARY
MEYN



Z niczego nic się nie pojawia

Zuzanna Gieras

Historia ciemna jak scenografia i kostiumy, a przytłaczająca jak natłok narcystycznych myśli bohatera. Trudno będzie mi mówić o tym, co zobaczyłam. Na początku miałam wrażenie, że ten spektakl odpowie na moją potrzebę usłyszenia historii uwikłania w społecznie narzucone standardy, ale z punktu widzenia mężczyzny. Szybko się okazało, że być może ta historia o tym jest, ale ja zupełnie nie potrafię jej odebrać. We wszystkim najcięższe jest to, że aktor razem z widzem kręcił się w kółko. Bohater monodramu *KAMAN KAMAN* nigdy nie miał szansy dorosnąć i wciąż nas w ponury obraz zagubionego młodzieńca w ciele mężczyzny.

I Kaman o tym wie. Nie akceptuje, ale wie i czuje, że nie jest dobrze. Widzi, że nie lubi już nic z tej swojej namiastki życia. I imprez i koncertów nawet nie lubi. A i siebie pewnie nie za bardzo.

Nie rozumiem, dlaczego mówi o tym przez mikrofon. Czy to dlatego, że postać jest muzykiem? Jeśli tak, to okej - akceptuję. Jednak biorąc pod uwagę zasoby emisyjne aktora - prawidłowy oddech, dobrą fonację i kontrolę nad artykulatorami - uważam, że mikrofon jest całkowitym nadużyciem technologii. A może dzięki temu zabiegowi nasz bohater czuje się wreszcie wysłuchany, ma poczucie, że jego myśli zabrzmiały dobitnie?

Jego samotność bije po oczach i uszach, a definicja męskości przedstawiona w spektaklu jest niepokojąco podobna do definicji depresji i zaburzeń lękowych. Ale spoko, przecież to tylko złudzenie, bo jak pisze

z ludźmi na komunikatorach, to obie strony uśmiechają się do siebie. Bo ona na pewno się uśmiechnęła. Wysłali sobie uśmiechnięte emotki, więc na pewno się uśmiechnęła. To ONI. To tamci są do dupy. Co oni sobie myślą, że po latach można ot tak, przyjść i wspominać? A coś się przecież zmieniło na przestrzeni tego czasu.

Znajomi Kamana przeskoczyli na inny etap życia, a ten tu na scenie? Został na deskach i krąży tylko między tym wątpliwym podwyższeniem, łóżkiem i rozpaczą.

Sporą część myśli bohatera zaprzętają komentarze wobec wyglądu koleżanek z klasy licealnej. Na początku intencja sto-



jąca za reprodukowaniem tego typu incel-skich postaw była dla mnie jasna. Jednak po pięciu, dziesięciu i piętnastu minutach krążenia wokół tego samego wątku zaczęła buzować we mnie granicząca z wku*wem frustracja. Krytyka, dyskryminacja lub po prostu wyśmiewanie się z nich, bo młodociane mózgi nie potrafią powiedzieć nic innego o dojrzewających dziewczynach. No okej, wyrostkom może i można (z bólem

serca) wybaczyć takie zachowanie, ale nasz bohater ma trzydzieści lat.

Końcówka chyba miała być nauczka za błędy przeszłości, gdy w końcu sam Kaman doświadczył przemocy seksualnej, jednak moim zdaniem - i mam nadzieję zdaniem większości - żadna przeszłość nie usprawiedliwia gwałtu. I nieważne, jak głęboko zakorzenieni w stereotypie męskości jesteśmy, nie wyobrażam sobie pocucia satysfakcji wobec takiego rozwiązania problemu.

4

Lament z pozycji spóźnionego męskiego dojrzewania, skowyt tożsamościowego kryzysu, krzyk z głębin emocjonalnych dysfunkcji i niedopasowania - monodram Kacpra Kurciosa *KAMAN KAMAN* w reżyserii Kuby Mielewcyka jest tym bardziej wstrząsający, im dowcipniej jest poprowadzony. A humoru w nim mnóstwo, choć humor to gorzki - tytułowy bohater jest załogantem, basistą jakiejś punkowej kapeli, który wypadł z peletonu; jego rówieśnicy (ba!, w tym jego dawne miłości!) dawno pobrali etaty, śluby, kredyty, zostali rodzicami, a on ciągle może się pochwalić najwyżej nic już nie znaczącym statementem „nigdy się nie sprzedałem”, wypełniając egzystencjalną pustkę tanim winem, przypadkowym seksem i powtarzaniem dawno zdezaktualizowanych przyzwyczajęń, które stały się natręctwami. Postaci takie jak ta w adaptacjach Żulczyka czy Masłowskiej grywa zwykle Jacek Beler i znać w roli Kurciosa pewne pokrewieństwa z tamtym emploi - skojarzenie jest zresztą o tyle uzasadnione, że i fraza monologu przywodzi na myśl prozę tej dwójki, choć spektakl oparty jest akurat na opowiadaniu Twardocha. I świetnie zrealizowany: audiosfera jest perfekcyjna, wpisana w konstrukcję świata bez ilustracyjności, ascetyczna i w pełni funkcjonalna scenografia otwiera na pomysłowe sceniczne skróty, no ale aktorstwo, przede wszystkim aktorstwo - to jest doświadczenie, tak boleśnie mu wierzyć, kiedy bohater mówi o swojej dawnej szkolnej koleżance „w ogóle nie jesteś tą osobą, którą znałem wtedy”, choć doskonale zdaje już sobie sprawę, że to on sam, zagrzebany w przeszłości, przestał znać siebie.

AKD



Dotknąć mógłbym tych chmur...

Joanna Jędrzejczak

Ciężko jest istnieć z poczuciem sensu. Rodzimy się bez niego, dorastamy, klucząc wydeptanymi ścieżkami, nieświadomie dopasowując się „gdzieś”, a potem, nim się zorientujemy, zostajemy z niczym. Świat nas wyprzedza,

ludzie wymijają nas niczym tsunami górę, a my jak ta skała stoimy w miejscu.

Przez „nas” mam na myśli bohatera monodramu *KAMAN KAMAN*, Marka „Kamana”, który miota się po scenie jak

lew uwięziony w klatce - tylko że nie tej metalowej, a stworzonej z rozczarowań i przegranej przeszłości. Kacper Kurcius doskonale radzi sobie w roli frustrata, który emocjonalnie zatrzymał się na młodzińskich czasach, nie tylko poprzez ciągle wspomnianie swojej dawnej miłości, ale też gówniarskie zachowanie. To bohater totalnie antypatyczny, szukający poczucia siły w brutalności, gbur i szowinista. Trudno go lubić lub współczuć, szczególnie z perspektywy kobiet. Których, w duchu toksycznej męskości, wcale nie szanuje, a które - o ironio - są jego największą zmurą.

Spektakl jest oparty w głównej mierze na tekście, jednak nie odbiera mu to ekspresji. Aktor idealnie wykorzystuje minimalną ilość rekwizytów, czyli mikrofon, podest i krzesło. Dzięki

precyzyjnemu ruchowi scenicznemu narracja płynie wartko, a bohaterowie są dobrze zarysowani. „Bohaterowie” w liczbie mnogiej, bo Kurcius bardzo żywo charakteryzuje inne postacie, można je prawie ujrzeć na scenie. Niektóre momenty wywołują duży dyskomfort - szczególnie zakończenie - ale jest to celowe i działa bardzo dobrze w kontekście całej sztuki. Spektakl szokuje, bo i tematyka jest nieprzyjemna. Ciężko było wyjść z sali i uświadomić sobie, że wielu mężczyzn może zmagać się z tym, co Marek.

Jedynym minusem całej tej historii jest fakt, że bohater nie przechodzi żadnej przemiany. Do ostatniej sekundy jest smutnym, żalonym człowieczkiem, zaplątany w własne ego. Ale grunt, że się nie sprzedał, prawda? Prawda?



Potrzebuję dodatkowej kartki na banany

Zuzanna Gieras

Pierwszą połowę monodramu *Zastygając w bezruchu* tworzy zbiór dosyć przypadkowo dobranych etiud. Moim zdaniem celem tych scenek było odzwierciedlenie sposobu komunikowania się danych grup społecznych. Tutaj możemy użyć tych mądrych słów typu: socjolekt, profesjolekt i technolekt. Jeżeli ktoś interesuje się tematem, to być może dostrzeże ironię użycia konkretnego słownictwa w danych sytuacjach spo-

łecznych. Jednak osoby mniej zainteresowane meandrami współczesnych tendencji rozwojowych polszczyzny mogą w ogóle nie wychwycić tych smaczków. Ta połowa spektaklu to próba mówienia o sposobach komunikacji, która współcześnie nawet znawców tematu przyprawia o zawrót głowy.

W spektaklu został przedstawiony o tyle ciekawy punkt widzenia, że temat depresji i presji pokoleń unika chrono-

logicznego spojrzenia, oferuje optykę z samego środka: dlaczego bohaterka miałaby być lepsza, skoro kształtowano ją inaczej? Z drugiej strony, co ja - młoda, która potrafi się przyznać do farmakologicznego leczenia się na depresję - mogę mówić, skoro nie znam bólu rozmowy z psychiatrą dwadzieścia lat temu. Trawestując padające ze sceny zalecenia: „Pływać pani może na tę depresję. Jeżeli sport nie pomoże, zwiększymy ilość bananów. Widzimy się za trzy miesiące”.

Druga połowa spektaklu to coś, co pokolenie boomerów zwykło nazywać kryzysem wieku średniego. Społeczeństwo zamęczyło bohaterkę oczekiwaniami, a jej odpowiedzią są: alkoholizm, nowe hobby, wyrzuty energii nie wiadomo skąd, które kończą się tak szybko, jak się zaczęły. To wszystko składowe autoterapii, która bywa jedyną formą terapii. Teraz już tak często nie słyszy się tego powiedzenia: „żeby dotrzeć na szczyt, trzeba odbić się od dna”. Jednak nie każdemu udaje się uciąć na tyle dużo sił na odbicie się od dna, żeby w międzyczasie nie utonąć - to jedna z refleksji po spektaklu.

Nad resztą refleksji ciągle pracuję, ponieważ nie wiem, od której strony je ugryźć. Na przykład motyw laleczki i po-

zytywki. Postacie budowane przez aktorkę nie wydają mi się ani kruche, ani delikatne. Być może rozpadają się jak lalka z porcelany, jednak dla mnie to niewystarczające połączenie. No i tytuł: *Zastygając w bezruchu*. Widziałam bezruch bohaterki, gdy dosłownie leżała na ziemi po wieczorze z butelką wina, a tak poza tym zastygłe w bezruchu były co najwyżej laleczki ze szmatek rzucone gdzieś w kącie.



4 Kolejny kobiecy monodram, znów o przenoszonym między pokoleniami doświadczeniu bycia wtłaczaną w gorset tradycyjnych ról, choć mniej w *Zastygając w bezruchu* niż w *Herstoriach* historycznej perspektywy, a więcej wrażliwości i emocji. W jednej kobiecie żyją naraz trzy, obok samoświadomej, dojrzałe rozczarowanej życiem bohaterki również ona - dziewczynka, pełna wiary, choć realizująca patriarchalne wyobrażenia i ona - kostyczna staruszka, własna matka czy babcia. Kinga Tomczak-Nowak w niewiarygodnie płynny sposób żongluje tymi trzema postaciami, budując wypowiedź delikatną jak lalki-motanki i zrećtnie unikającą publicystycznego charakteru. Niby mało, a bardzo wiele.

AKD



Opowieści przykrej treści

Karina Gołębiewska

Zawsze jest to dla mnie zastanawiające, jak to możliwe, że każdy z nas ma swoje życie, osobiste doświadczenia i indywidualną historię, a jednak to, co nas dotyka i nierzadko boli, jest tak bliźniacze i znane nam wszystkim.

Kinga Tomczak-Nowak w spektaklu *Zastygając w bezruchu* w reżyserii Beaty Marii Błońskiej prowadzi widza przez opowieść o losach kobiety, z którą wiele z nas może się utożsamiać. Ta tematyka jest coraz częściej spotykana i przyznaję, że mnie to cieszy, ponieważ każda taka opowieść poszerza świadomość, mówi głośno o tym, o czym rozmawiać nie lubimy, nie chcemy, czasem nie możemy; tutaj jest podana ze smakiem, bez przesadnego zadęcia ani przytłaczającej melancholii.

Aktorka związana z Teatrem Ósmego Dnia z Poznania doskonale operowała nastrojem panującym na scenie. Krzyk pobudzał i wstrząsał, humor rozładowywał napięcie i nadawał ciekawy charakter opowieści, spokojniejsze momenty wypełniało poruszenie, a dźwięki kołysanki do-

biegające z offu były subtelną klamrą spektaklu. Fragment z *Kota w Butach* zdecydowanie poruszył widownię, podobnie jak kokieterijność bohaterki Kingi w chwilach, w których snuła wizję tego idealnego mężczyzny, z którym ma się spotkać.

W to właśnie udało się ubrać histo-



rię o samotności, przemocy, zaniedbaniu, wstydzie, umniejszaniu problemów i potrzeb, histerycznej wręcz radości ze zwiększenia dawki leków pod iluzją obfitości i bycia zauważoną, kompleksach, presji społecznej, a także o alkoholu jako sposobie na wytłumienie i ucieczkę od tego całego ciężaru, który główna bohaterka nosi na sobie przez całe życie.

Tak, to jest konfrontujące i momentami może wzbudzać u widza wśród wielu różnorodnych emocji również poczucie dyskomfortu, ale w sumie to chyba dobrze.

Skromna scenografia w postaci stolika i dwóch krzeseł w połączeniu z drobnymi,

poręcznymi rekwizytami pozwoliły mi skupić całą uwagę na aktorce i doskonale uwydatniały sensy opowieści.

Przychodzi mi taka refleksja odnośnie tego, jak wiele jeszcze musi zmienić się w świecie i w nas samych, żeby takie treści przestały być nam potrzebne. Czy uda się polskiej kobiecie wyjść z wewnętrznego przymusu spełniania oczekiwań i ról, ogromnej presji i pretensji do samej siebie o wszystko i o nic? Czy uda się w końcu polskiej kobiecie być po prostu, w pełni autentyczną, sobą? Mam nadzieję, że tak, ale do tego czasu - dobrze doświadczać takich spektakli.



Ogon merdający psem

Joanna Polgaj

Dawno, dawno temu, gdzieś w zamierzchłej przeszłości innego świata, w środowisku teatralnym miały miejsce nadużycia reżysera wobec pracowników, o których na pewno zespół Pomarańcze w Uchu na Skarpie bez Kartki nie napisał spektaklu *Warlikowski Noob, a Lupa...*

W naszej rzeczywistości Pomarańcze jednak nie odmówiły sobie prawa do komentarza. Przedstawieniu został nadany charakter bokserckiego turnieju między Warlikowskim a Barckim. Obie postacie są autentycznymi działaczami teatralnymi, pierwsza z nich to jeden z najważniejszych reżyserów polskiego teatru instytucjonalnego, natomiast druga – performer i również reżyser, tylko działający w środowisku niezależnym.

Podczas rozgrywki wyświetlano filmiki, na których występujący ludzie opowiadali się za jednym albo drugim walczącym. Dowodem na wyższość Barckiego, prócz wspierających go głosów z multimediiów, były również



przygotowane przez niego osobiście (sic!) tabelki porównujące ich między sobą.

Co równie ważne – po zwycięstwie Barcki, przebrany w ateńską togę, dawał publiczności „złote rady”, jak zostać szanowanym reżyserem, wśród których znalazło się: poniżanie pracowników, mobbing, wywyższanie się czy tworzenie wąskich grup elit.

Został przywołany także skandal związany z osobą Krystiana Lupy, który, podczas prac nad spektaklem w Genewie, nie zachowywał się w porządku

w stosunku do pracowników, a mimo to polskie środowisko teatralne zażarcie broniło jego praw do takich metod pracy.

W wydźwięku spektakl poruszał ważne tematy: granic władzy reżysera, przestrzegania praw pracownika, hierarchii w teatrze i zasad funkcjonowania tej instytucji, zmuszał widza do refleksji, co jest zachowaniem „fair”, a co znajduje się już poza sferą, w którą może ingerować kierownik prac w teatrze.



Powtarzam, że jesteśmy elitą

Zuzanna Gieras

Mój mózg, który jest zdecydowanie bliżej spektrum autyzmu niż dalej, wpada w panikę za każdym razem, kiedy postanawiam napisać recenzję twórczości grupy Pomarańcze w Uchu na Skarpie bez Kartki. Czyją? Ano, teatru prezentującego tak wysokie poziom odklejki, że każdy formalista wymięka.

Przed spektaklem zadałam sobie fundamentalne pytanie: Czy trzeba znać twórczość Warlikowskiego i Lupy, żeby odebrać ten spektakl Pomarańczy? Odpowiadam: prawdopodobnie tak, przydałoby się. Zatem zadam drugie (łatwiejsze) pytanie: czy trzeba znać twórczość Warlikowskiego i Lupy, żeby móc spędzić godzinę w przyjemnej atmosferze na sali wido-

wiskowej? Odpowiadam: a gdzieżby!

Forma performatywno-happenin-gowa sprzyja relacji z widzem. Barcki nie szuka poklasku dla poklasku i nie robi teatru dla pompacyjnych rozmów po spektaklu. Świadomie przekracza tyle granic, że można by go posądzać o najazd na psychiczny



dobrostan widzów. I jest tego jak najbardziej świadomy. Podziwiam go za odwagę stawania z wypiętą klatą (tu: gołą) w tej sytuacji.

W uproszczeniu spektakl to inscenizacja walki na ringu między liderem Pomarańczy a Warlikowskim. Trzy rundy, przemarsz zwycięstwa i przemowa mistrza. Barcki wygrywa ten pojedynek walkowerem. Niepojawienie się rywala spowodowało tę wygraną - taaak, zdecydowanie właśnie tylko to spowodowało wygraną. Gdybyśmy jednak na chwilkę (obiecuję, że na chwilkę!) spróbowali być poważni, to możemy się zastanowić nad dosyć ważnym tematem zacierania się różnic między teatrem instytucjonalnym a offowym. Ja jestem zdecydowanie za głupia, żeby poprowadzić te rozważania, ale zachęcam do ich podjęcia we własnym zakresie.

Podobało mi się dosłowne oznajmienie widzom, że w momencie wejścia na salę widowiskową zapraszają nas do innego świata. Świata, w którym czułam się zaskakująco na miejscu - a rzadko miewam to poczucie.



Ale szczerze: Zgierz ma przyjemność oglądać Barckiego regularnie od pięciu lat. Ile razy szanowny Warlikowski odwiedził nasz wspaniały, oddolny festiwal? Na koniec padło wezwanie, że zespół może wejść na scenę i się uklonić, pod warunkiem, że się nie wstydzi. Czego miałby się wstydzić?

4

Szczerze nie lubiłem tej akcji Barckiego, kiedy widziałem ją w jej pierwszej redakcji prawie dziesięć lat temu, uważałem ją za niechlujną, realizowaną na wyrost i z poziomu offowego kompleksu - i szczerze mówiąc nadal jej nie lubię, choć ze zgola już innych powodów. Co się zmieniło: otóż środowisko polskiego teatru dogoniło Barckiego satyryczne diagnozy, a wręcz przegoniło je, ujawniając w pełni kabotyństwo wielkich nazwisk, odklejenie elit od rzeczywistości, systemową przemoc w relacjach władzy. Dziś, po lawinie świadectw o brutalnych praktykach, finansowych przekrętach i braku poszanowania dla elementarnych społecznych zasad wśród twórców z pierwszych stron gazet, *Warlikowski Noob, a Lupa...* brzmi już nie jak narzekanie offowca, że instytucje hegemonizują zasoby na rynku kultury i dlatego uparcie strzegą status quo, ale jak oskarżenie wobec oprawców, i to rzucane w twarz całej „profesjonalnej” branży z pozycji moralnej wyższości. I cóż, jest to nadal wypowiedź głęboko insajderska, czytelna raczej dla tych, którzy śledzą środowiskowe dramy, nadal też niechlujna (choć tę cechę działań Barckiego w międzyczasie zrozumiałem i ukochałem) - ale niestety, w ogóle już nie na wyrost.



Światło – muzyka – aktor

Joanna Polguj

Teatr Wojtki Kowalskiego z Częstochowy zaprezentował przedstawienie *Kukła* opowiadające o... (tu proszę uzupełnić własnymi wrażeniami – w umyśle osoby piszącej jeszcze się te dane nie załadowały); trochę traktował o antysemityzmie, trochę o wojnie w Ukrainie, trochę o tradycji itd., itp.

Za to bardzo doceniłam światło! I muzykę. Muzyka też była fajna. Ogólnie - całość, ale poza tematyką. Samoświadomość osoby grającej po-

rażała niczym jednoznacznie kojarzące się barwy występujące w scenografii, biało-czerwone dekoracje i niebieska sukienka opasana żółtą wstążką.

A najbardziej podobała mi się synchronizacja na linii światło – aktor – muzyka. Niesamowite, jakie wyczucie czasu miały osoby techniczne, idealnie wpasowując się w moment, w którym aktor potrzebował danego dźwięku czy zmiany światła reflektorów. Ogromny szacunek.

Janusz Kowalski

Zuzanna Gieras

Nie lubię spektakli starających się opowiedzieć o każdym i dla każdego. Zazwyczaj zwiastuje to coś, z czego prawie nikt nie jest zadowolony. Nie mogę powiedzieć, że ten spektakl dałoby się opisać jednym przymiotnikiem, ale zdecydowanie częściej reagowała nań entuzjastycznie starsza część publiczności niż pokolenie Zetek, a to już nam daje jakiś punkt zaczepienia.

W teatrze Wojtki Kowalskiego najczęściej męczy mnie przerost formy nad treścią. Mnogość kostiumów, scenografia niemal wylewająca się ze sceny. Ha-tfu dla prostoty.

Tym razem przestrzeń jest schludna, chociaż bardzo ograniczona zastawkami. Biała góra, czerwony dół - czy my tu mamy flagę polską? Może to nadinterpretacja, bo przedstawiona historia jest dosyć uniwersalna. Jednak szczerze... obyłoby się bez warstwy wizualnej. To dla mnie było całkiem zacne słuchowisko. Nie potrzebowałam patrzeć w kierunku sceny (choć jak spojżałam, doceniłam pracę światła), żeby zapewnić sobie dobry odbiór spektaklu.

Ponadto podoba mi się, jak Wojtek Kowalski umiejętnie mówi w rytmie, dzięki czemu dostosowuje się do audiosfery. Czułam wtedy satysfakcję z jedności dźwięków muzyki z dźwiękiem słów. Treściowo widziałam w spektaklu coś, co padło ze sceny i pięknie podsumowuje moje myśli: „choroba

piękniejsza od najlepszego zdrowia, czyli chroniczne zapalenie uchu”.

Czy główny bohater jest Bogiem, czy tylko boskim stworzeniem? „Przelicz, czy masz dziesięć obciętych paznokci, tak jak dziesięć przykazań boskich - nauczyła matka”. Ale on ma dziewięć, więc we mnie rodzi się ciekawość, którego przykazania brakuje. Czy spektakl to próba odpowiedzi na to pytanie? A może brakującym paznokciem jest wyobraźnia. Coś, czego dzisiaj mieć nie potrzeba.

Może brakuje czystości. Bohater jest płamą. Matrona na wszystkie znane sobie sposoby gospodyni domowej próbuje się go pozbyć ze swojego życia. Ale jej sto procent to za mało na niego. Za to pasjonuje go obserwowanie naczyń, jak schną. Czy to zajęcie godne bycia dyscypliną olimpijską? A może obserwowanie wirującej pralki? Nuda nie podoba się Bogu, więc trzeba znaleźć sobie jakieś zajęcie. Przechodziliśmy z bohaterem od spokoju, przez cierpliwość i irytację aż do nienawiści. A do jakich wniosków ja doszłam podczas tej podróży?

Może wszyscy jesteście kukłami? Może wszyscy rodzimy się do roli kukli, ale niektórzy przez przypadek nie trafiają w ramy i brakuje im jakiejsz składowej. A może nasze życie nie jest nawet na tyle istotne, żeby rozważać scenariusz, w którym tak naprawdę nasze uczucia się liczą. Naucz się lubić swój wstyd, bo i tak na nic więcej nie możesz liczyć.



Mono dramat

Joanna Jędrzejczak

Po samej scenografii łatwo odgadnąć, o czym jest spektakl *Kukla Wojtka* Kowalskiego. Czerwony podest, białe tło i białe krzesło, do tego pan Wojtek cały na białą (z wyjątkiem butów, bo te są czerwone). Daje to dość sugestywny obraz, że opowieść pana Kowalskiego będzie traktować o patriotyzmie / Polsce / polityce / niepotrzebne skreślić.

Znaczy, trudno powiedzieć, bo niestety nie udźwignęłam tego. Można mieć wrażenie, że pan Wojtek wziął ze słowa „monodram” przedrostek „mono” i sparował go z częstką „tonia”. Trudno było mi skupić się na tym, co mówił, podczas gdy w pierwszej połowie spektaklu ruch na scenie był praktycznie zerowy. W drugiej połowie, gdy historia nabrała dynamiki, a aktor zaczął śmieiej wykorzystywać przestrzeń, ja już nie umiałam odnaleźć się w fabule. Pewnie to moja wina, nigdy nie byłam zbyt bystra, ale zaczęłam

się też trochę zastanawiać: czy czasem nie pora na zmianę konwencji w spektaklach pana Wojtka? Myślę, że każdy, kto był na Słodkobłękitach, wie, że gawędziarska formuła jest charakterystyczna dla tego artysty. Nic dziwnego, pan Kowalski jest wspaniałym mówcą, ale niestety uważam, że potrzeba czegoś więcej, by przykuć uwagę i wzbudzić zainteresowanie.

Chociaż, jak już wspomniałam, widownia wydawała się być zadowolona. Podczas spektaklu słyszałam pojedyncze i grupowe śmiechy, a na koniec ludzie żywo klaskali. I muszę przyznać, że końcówka, czyli finałowa piosenka oraz poprzedzające ją przesłanie, były naprawdę świetne. Cała oprawa muzyczna zasługuje na uznanie – zwłaszcza świetne wykorzystanie melodii z piosenki *Hallelujah*. Jednak nie jestem do końca pewna, czy to wystarczy.

Z teatrem Wojtka Kowalskiego mam dwoistą relację: jego monodramy są albo totalnym strzałem i znajduję w nich pokłady dawno nie odczuwanych przyjemności, albo kompletnie się z nimi nie komunikuję i znajduję tylko przykre dziaderstwo - zależy to, jak mi się zdaje, od tego, jak bardzo dany jego tytuł jest Kowalskocentryczny. *Kukli* bliżej niestety do tej drugiej kategorii, choć nie umiem nie docenić wspaniałego warsztatu Kowalskiego, taktowanego muzyką rytmu narracji, tej jego błazeńskiej osoby przy równoczesnym umiłowaniu literatury (znowu Rudnicki gra tu niebagatelną rolę) i umiejętności wydobywania poetyckich obserwacji z absurdałnych drobiazgów. Ale choć znam Wojtkę i wiem, że to nie muszą być jego myśli, to nie umiem przyjąć tego klasistowskiego smrodku, jaki wyraża się w stosunku jego bohatera do rodaków - bo, oczywiście, rzecz mówiła o narodowych naszych przywarach - aż sam musiałem się bardzo pilnować, żeby w geście sprzeciwu nie dłużyć na widowni w nosie podczas monologu szydzącego z dłużących. Bo też i takie pełzające szyderstwo nie wydaje mi się być dobrą taktiką, a w każdym razie nie niosącą pozytywnego planu przeciwdziałania słabostkom, gdy wobec grzechów tak ciężkich jak ksenofobia wytacza Kowalski cięższe działa sarkazmu; nie sprawdza się to nawet, gdy puenta sugeruje, by zaprzyjaźnić się z własnym wstydem.

AKD

Smakujesz, czujesz, doświadczasz...

Karina Gołębiowska

Sobotni dzień festiwalu rozpoczął się warsztatami prowadzonymi przez Teatr Rajstopy w Centrum Kultury Dziecka.

Noemi i Zuzaabrały mnie oraz pozostałych uczestników warsztatów w prawdziwą podróż po zmysłach.

Rozpoczęliśmy ćwiczeniami, które pozwoliły grupie poznać się i zintegrować. Następnie przeszliśmy do wybrania dla siebie jednego „smakołyku”, który był bazą późniejszych działań. Znalazły się wśród nich między innymi szalwia, pianki, pomarańcza, cebula, cytryna, rozmaryn czy chrzan. Dostaliśmy czas i przestrzeń, aby ich doświadczać. Mnie przypadła gorzka czekolada, która okazała się zdecydowanie bardziej intensywna w smaku, niż się tego spodziewałam. Osobiście uważam, że jedzenie jest jedną z najbardziej zmysłowych czynności, a tu miałam okazję to naprawdę poczuć.

Zostaliśmy zaproszeni do zapisywania swoich odczuć, skojarzeń, utożsamienia z kolorem, muzyką, częścią garderoby, pogodą, a nawet spektaklem.

Refleksja, czym jest dla nas to, co zjedliśmy, jakie wywołuje emocje, reakcje i myśli, była potrzebna, by stworzyć kolaż. Rajstopy przygotowały dla nas wszystkie niezbędne materiały, książki, nożyczki, gazety i kleje, więc każdy z uczestników mógł przenieść swoje odkrycia w formę artystycznej kompozycji, o której chętni mogli opowiedzieć.

Na koniec dziewczyny ponownie proponowały ćwiczenia z ciałem. W intuicyjnym i improwizowanym ruchu zebraliśmy wszystkie doświadczenia, wnioski oraz

przemyślenia warsztatowe. Noemi nadała tempo i jakości, takie jak: wielki, mały, otwarty, żółty, smutny itp., dzięki czemu każdy miał okazję sprawdzić, jaki jeszcze potencjał tkwi w czymś tak oczywistym i na co dzień pomijanym, jak produkt spożywczy.

Uświadomiłam sobie, że z kawałek czekolady może być inspiracją do tworzenia treści, obrazów, kolaży, czy nawet spektakli, ale dla siebie zabieram fakt, że mam od dziś nowe wspomnienie czekolady, którego długo nie zapomnę, jak i również zachętę do tego, by wziąć w obroty zasoby mojej lodówki i zobaczyć, co z tego wyniknie.



**BEZ
CUKRU**

Zuzanna Gieras, Joanna Jędrzejczak, Karina Gołębiowska,
Joanna Polgaj, Adam Karol Drozdowski, Tomasz Krach
Fot.: Karina Gołębiowska

patronat honorowy:



organizatorzy:



partner:



patroni medialni:



sponsorzy:

